

JACEK ADAMCZYK



CZAS PRZESZŁY DOKONANY

DZIENNIKI, WSPOMNIENIA, SZKICE
1976-1989

POKOLENIE
Solidarności



**CZAS PRZESZŁY
DOKONANY**

POKOLENIE
Solidarności

JACEK ADAMCZYK

CZAS PRZESZŁY DOKONANY

DZIENNIKI, WSPOMNIENIA, SZKICE
1976-1989

INSTYTUT
LITERATURY



KRAKÓW 2021

© Copyright by Jacek Adamczyk, 2021

Opracowanie redakcyjne:
Aleksandra Czyż, Adam Roliński

Projekt okładki:
Lech Skawiński

Fot. na okładce:
Jacek Adamczyk

ISBN 978-83-66765-64-1 (druk)
ISBN 978-83-8138-591-6 (druk)
ISBN 978-83-8138-592-3 (PDF)

<https://doi.org/10.12797/9788381385923>

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu
Instytutu Literatury w ramach Tarczy dla Literatów

INSTYTUT LITERATURY
ul. Smoleńsk 20/12, 31-112 Kraków
e-mail: wydawnictwo@instytutliteratury.eu
<https://sklep.instytutliteratury.eu/>



WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA
ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
e-mail: publishing@akademicka.pl
Księgarnia internetowa: <https://akademicka.com.pl>

Spis treści

5	Wstęp. Pokolenie „Solidarności”
7	Od redakcji
9	Wstęp
11	1976. Kraków
23	1977. Student
35	1978. Razem
55	1978. Przemoc
63	1979. „Spotkania”
79	1980. Francja po raz pierwszy
93	1981. Styczeń-grudzień, święto
109	1981... Stan wojenny
125	1983-1989. Ucieczka do siebie
179	1989. Grudzień. Narodziny
182	Przypisy
192	Indeks geograficzny
195	Indeks osobowy

Wstęp

Pokolenie „Solidarności”

Polska historia ostatnich stu lat została naznaczona ogromnym wysiłkiem pokoleń – najpierw tego, które wywalczyło dla kraju niepodległość, składając ogromną daninę krwi. Generacja urodzona w Drugiej Rzeczypospolitej zaznała szczęścia wolności i wielkiej goryczy klęski, tym dotkliwszej, że poświęcenie milionów hitlerowskich i sowieckich ofiar nie zaowocowało upragnioną wolnością.

Na tym tle pokolenie „Solidarności” wydaje się szczególnie uprzywilejowane, skoro tym razem wysiłek odzyskania suwerenności nie pociągnął za sobą aż tak wielu istnień, a cierpienia były relatywnie mniejsze. Ofiar śmiertelnych było niewiele w porównaniu z okresem stalinizmu. Tysiące więzionych, wyrzuconych z pracy lub relegowanych z uczelni, milion osób zmuszonych do emigracji albo pozbawionych środków do życia – to ofiary poddane wybiórczej represji komunistycznej przemocy lat osiemdziesiątych. Pozostała ogromna część społeczeństwa – zepchniętego do poziomu ubóstwa, pozbawionego praw pracowniczych, gospodarczych i elementarnej wolności, a także możliwości rozwoju czy dostępu do niekomunistycznej kultury – to rzesza pokrzywdzonych przez system, w który było wpisane zbiorowe pozbawianie obywateli podstawowych praw człowieka.

Przemoc militarno-policyjna, powszechna bieda i upośledzenie cywilizacyjne, a także zwyczajne upodlenie beczelnym kłamstwem w życiu publicznym spotkały się z szerokim oporem społecznym. Ten świat powinien zostać przedstawiony w całej swojej grozie, ale też głupocie i śmieszności – totalitaryzm był straszny, ale jednocześnie w wielu przejawach groteskowy i pokraczny. Z oczywistych powodów demograficznych wśród członków „Solidarności” dominowali ludzie urodzeni w pierwszym dziesięcioleciu tzw. Polski Ludowej, choć liderów i szeregowych działaczy nie brakowało również wśród starszych Polaków. Dlatego przywołując doświadczenia,

przeżycia i osobliwości tamtych czasów, sięgamy do pamięci i opowieści wszystkich uczestników ówczesnej walki o wolność.

Pamięć musi się karmić konkretem, a nie abstrakcją historycznych procesów, i przywoływać realia, które odeszły wraz z sowiecką cywilizacją, a dzisiaj niejednokrotnie wymagają objaśnień. Nie żyjemy już w komunizmie i trudno nam sobie obecnie wyobrazić zwyczajne, codzienne dolegliwości albo przemoc fizyczną totalitarnego systemu. Ogromna większość Polaków osobiście nie doświadczyła życia, w którym problemem jest nabycie podstawowych produktów żywnościowych lub ubrania (kartki na cukier, mięso czy buty) i trzeba się wykazać sprytem, żeby „zdobyć” papier toaletowy, mydło lub podpaski. Tak jak niewyobrażalne jest dzisiaj to, że można było zostać niewinną ofiarą pobicia przez milicję, która w praktyce miała prawo do niczym nieskrępowanej agresji bez oglądania się na nietykalność cielesną obywatela.

Opowieść o tych czasach i ludziach musi być konkretna, w miarę różnorodna, uwzględniać region i miejsce zamieszkania, płeć, wiek, wykształcenie, środowisko zawodowe, a także kulturowe i etniczne zaplecze. Dlatego interesują nas osobiste opowiadania, pamiątki i artefakty, zdjęcia i w ogóle wszystko, co jest związane z historiami indywidualnymi, a nie tylko z dziejami zbiorowymi. Stworzenie wielkiego grupowego portretu pokolenia „Solidarności” jest ciągle możliwe, choć najstarsi uczestnicy już nie żyją. Ale nawet po nich zachowały się nagrane lub zapisane wypowiedzi, zdjęcia, dzienniki, pamiętniki lub listy z więzienia, do których chcemy dotrzeć. Są to nie tylko dokumenty epoki, które mogą zainteresować historyków czy socjologów, lecz również – literatura faktu mająca powodzenie u zwykłych Czytelników. Interesujące są także wspomnienia bliskich, zwłaszcza dzieci. Choć same nie brały udziału w wydarzeniach politycznych, to przecież świat dorosłych zapisał się w ich pamięci, czasami – niestety – tragicznie.

Takie są założenia i cele serii *Pokolenie „Solidarności”*. Liczymy na udział świadków i uczestników, których zapraszamy do współpracy.

Józef Maria Ruszar

Od redakcji

Seria *Pokolenie Solidarności* powstała w celu przedstawienia Czytelnikom relacji uczestników wydarzeń związanych z dziejami opozycji antykomunistycznej w PRL, szczególnie związku zawodowego NSZZ „Solidarność”, który władza totalitarnego państwa próbowała zniszczyć, wprowadzając 13 grudnia 1981 roku stan wojenny. Autorzy, świadkowie dziejów pierwszych lat „Solidarności” i stanu wojennego, swoje przeżycia spisali w różnych formach literackich: listach, wspomnieniach, poematach, pamiętnikach, dramatach. Edycja tych tekstów nie polegała na ich opracowaniu literackim – zweryfikowano jedynie fakty historyczne zawarte w książce i objaśniono znaczenie niektórych słów oraz przybliżono wydarzenia, które mogą być niejasne dla współczesnego Czytelnika. Pozostawiono teksty w ich autentycznej formie, ograniczając redaktorską ingerencję do uwspółcześnienia interpunkcji, poprawy ortografii i gramatyki oraz wyjaśnienia niezrozumiałych miejsc. Każdy tom zawiera krótką biografię autora oraz indeks osób.

Czasu przeszłego dokonanego używamy, aby opisać czynności, sytuacje i zdarzenia, które wydarzyły się w przeszłości i są zakończone. Czynności, które są zakończone i miały miejsce w konkretnym czasie w przeszłości oraz szereg kolejno następujących po sobie działań. W zdaniach w czasie przeszłym dokonanym przeszłość jest bardzo często określana z różnym stopniem dokładności przy pomocy odpowiednich wyrażeni.

Zapisuję od dawna, odkąd zaczęło mi się wydawać, że to, co myślę, czuję, dostrzegam, należy zachować na papierze. Nie warto teraz zastanawiać się nad tym, dlaczego tak się stało. Może innym razem. Przebywanie wśród słów stawało się wyzwaniem, potrzebą, czasem ratunkiem.

To może być dziesięć, piętnaście zeszytów, notesów, kalendarzy, brulionów zapisanych, wypełnionych rysunkami, wklejonymi biletami, fotografiami czy wycinkami z gazet. Jest nawet zasuszona łądzka kwiatka, docięnięta taśmą klejącą, ale to nie moje dzieło, nieeliczni i bezwzględni intruzi także się tam pojawiali. Jest sporo listów, większość otrzymanych, kilka niewysłanych, kartki pocztowe, rachunki i zwykle śmieci.

Zaczęło się w liceum, później studia w Krakowie, dziesięć dziwnych lat bez przyszłości i bez planu, aż do dnia, kiedy urodził się mój syn. Potem nastąpiła długa przerwa, by znowu wrócić do zapisków w ostatnich latach.

Nie było rzeczą łatwą ani oczywistą zbudować strukturę tekstu, który zaczyna się na następnych stronach. Podwaliną jest fragment „dziennika”, tak jak brzmiał, jak został wykonany, z datą, z czasem, z miejscem. Na tym fragmencie opierają się obrazy zachowane w pamięci, niezapisane, ale bez specjalnego trudu odtwarzane i redagowane, zawsze w czasie terazniejszym – tę manierę proszę mi wybaczyć. Ten właśnie czas wydawał mi się, wydaje mi się, najwłaściwszy. Dopuszczam jednak możliwość, że się mylę, nie jestem tego pewien.

Zapiski z „dzienników”, opisy wydarzeń to obszar inspiracji – na jego podstawie powstawały teksty, krótkie opowiadania, szkice oddające sytuacje, w których mniej lub bardziej bezpośrednio uczestniczyłem. Zapis tworzył się prawie natychmiast po tym, jak doszło do przedstawianego wydarzenia. Ale nie powiem, jaki to był dzień czy miesiąc. W tym wypadku nie ma to chyba znaczenia. Nic tutaj nie zmyśliłem, nie powstała żadna fikcja literacka; wyzwaniem było ułożenie tych tekstów dzisiaj, powiązanie ich ze sobą, wybór wątków i szczegółów. Tak to obecnie wygląda. Kilka tekstów wierszowanych powstało w konkretnym czasie, miejscu i pod wpływem łatwych do zidentyfikowania emocji. Są bardziej ilustracją kondycji autora niż próbą aspirowania do grona jakichkolwiek poetów.

W zapiskach pojawiają się nazwiska wielu osób, niektóre z nich to postacie publiczne, inne to postacie znane i w końcu są tacy, których ukrywam za inicjałami. Prawie wszyscy byli, niektórzy nadal są, ważni, potrzebni, warci wspomnienia. Prawie wszyscy – z wyjątkiem kilkorga, o których wolałbym zapomnieć, ale pojawili się i muszę się z tym niechętnie pogodzić.

Nie potrafię jednoznacznie ocenić, czy wybrane teksty są jedynie świadectwem pewnego czasu, czy może pokazaniem, jak tamten czas wpływał na rozwój jednej osoby, czy też konieczna jest jeszcze inna opinia. Nie ukrywam jednak, że składanie tej „opowieści” dawało przewrotną przyjemność, trochę jakbym zdobył jeszcze raz możliwość wyboru, decydowania i po drodze nauczył się czegokolwiek na popełnionych błędach.

Ostateczny kształt tekstu to także, nie mniej istotne, informacje i przypisy, wyjaśniające niektóre fakty, określenia, okoliczności itp. Po ponad czterdziestu latach wyrosły pokolenia, dla których – na ich szczęście – pewne pojęcia są już obce. Świadomość tych różnic jest swego rodzaju urozmaicheniem i pociąga za sobą nieodzowną ciekawość co do reakcji potencjalnego współczesnego czytelnika.

Życzę wszystkim niczym nieskrępowanej lektury i dystansu pozwalającego dostrzec więcej.

1976. KRAKÓW

—

Sierpień 1976, Łapsze Wyżne

Oaza. Ciężkie warunki, trochę nowych ludzi z całej Polski. I co dalej?

Jestem po raz kolejny na oazie Ruchu Światło-Życie¹ księdza Franciszka Blachnickiego. Dojeżdżam z Bielska do Krościenka, stamtąd ksiądz Leszek Irek podwozi mnie na miejsce, do Łapsz. Po południu do wynajętego dla oaz domu dociera młody ksiądz, który ma być z nami, jednak, jak sam mówi, to tylko na dwa, trzy dni, na zastępstwo. Opowiada, jak na dworcu w Krościenku i w innych miejscowościach cywilni funkcjonariusze milicji wylapują przyjeżdżających oazowiczów i informują, że w tym roku oaza jest odwołana i trzeba wracać do domów. Czujemy się dumni i zadowoleni, że mimo wszystko dotarliśmy, nie ulegliśmy presji. Nie bardzo orientujemy się w szczegółach tych relacji, ale wiemy, bardzo dobrze wiemy, że jesteśmy my i „oni”. Nigdy przedtem – ani w domu, ani na lekcjach religii, nie mówiąc już o szkole – nie pojawia się to rozróżnienie, nie jest stosowane ani niczego nie tłumaczy. To dociera stopniowo, prawie niewidocznie, poskładane z drobnych faktów, urywków komentarzy, kilku głośno wypowiedzianych uwag ojca przed telewizorem, z bezwzględного wymagania uczestnictwa w mszach „dla młodzieży”, z przestrzegania świąt i postów. Aż do przyjazdu do Krościenka nie było mowy o żadnej „walce” czy „opozycji”. Jesteśmy trochę dumni, trochę nawet nadęci tym poczuciem działania wbrew powszechnym nakazom.

Młody ksiądz, pomimo zapewnień, zostaje z nami przez całe dwa tygodnie. Czasem chodzimy głodni, często niewyspani, trochę zmęczeni. Poznaję znakomitych i dobrych ludzi gdzieś z okolic Białegostoku, z Warmii, Węgorzewa, Bartoszy. Jest też Maja, wygląda bardzo ładnie, delikatnie, ma urzekający ciepły głos, kiedy mówi, często się uśmiecha. Rozmawiamy od pewnego czasu, właśnie zdała na studia, od września będzie mieszkać w Krakowie i studiować historię sztuki. Ostatniego dnia oazy patrzę, jak odchodzi z koleżanką w kierunku przystanku autobusowego. Trochę boli. Wyjeżdżają, a ja wracam do domu. Chciałbym studiować takie ładne rzeczy, jak historia sztuki... I jeszcze się z nią zobaczyć. Musi minąć ponad dwadzieścia lat, żebyśmy się znowu spotkali, czyli cała epoka. Nic nie jest takie jak dawniej, nawet pamięć.

Wrzesień 1981

U Piotra [Jeglińskiego]², na Jean Moulin, pojawia się ksiądz Franciszek Blachnicki. Szczupły, energiczny, sprawia wrażenie, jakby się nieustannie spieszył. Nie zwraca uwagi na drobiazgi, po prostu zaplanował szereg spotkań i odbywa je jedno po drugim. Nie przypomina sobie naszych spotkań na Kopiej Górze w Krościenku. Przyjechał w innej sprawie. Trochę zabawnie jest obserwować dwóch wytrawnych poszukiwaczy funduszy, kiedy jeden i drugi usiłuje coś dla siebie wygrać. Jednak mam wrażenie, że Piotr ulega determinacji twórcy oaz i nieśmiało obiecuje wsparcie. Według księdza to nic wielkiego – chciałby okazynie kupić kilka maszyn do jednoczesnego kopiowania kilkudziesięciu kaset magnetofonowych. Na taśmach chce umieszczać piosenki oazowe, homilie, lektury. Wszystko oczywiście poza cenzurą i dla dobra Ruchu Światło-Życie. Pod koniec spotkania rzuca jeszcze, że szuka środków na zakup jednego albo dwóch helikopterów, gdyż zamierza tworzyć oazy w Ameryce Południowej, a tam są problemy z komunikacją.

Właściwie to długo po wyjściu księdza Franciszka śmiejemy się z tego pomysłu.

Kilka miesięcy później narodzi się akcja wysyłania ulotek balonami nad pogrążoną w terrorze stanu wojennego Polskę.

Październik 1976

Na końcu Michałowicza, niedaleko blaszanego supersamu spotykam wieczorem Tadeusza. Jest już na studiach na UŚ w Katowicach. Miał przy sobie „Kulturę”³... Rozmawiamy o studiach, egzaminach, mówi, jak na egzaminie z historii powiedziano do niego: „Pan jest ze Śląska, więc niech pan opowie o powstaniach śląskich”, i jak tłumaczył, że Podbeskidzie to nie Śląsk.

Tadeusz kiedyś nazywał się jeszcze Zachurzok, potem zmienił nazwisko, słyszało się go czasami w audycjach ze studia radia Głos Ameryki⁴. Wtedy, w niewielkim światku bielskich licealistów, jest małym, energicznym, złośliwie uśmiechniętym nosicielem nowinek literackich, plotek z zamkniętych rewirów pisarzy i poetów, małoletnim palaczem carmenów

i intelektualnym snobem. Szaleją za nim najładniejsze koleżanki ze starszych klas. Paradoksalnie, gdyż zupełnie to do niego nie pasuje, spotykamy się na zbiórkach harcerskich i w lecie na obozach Hufca Beskidzkiego w Siewierzu.

Tym razem spotkanie jest przypadkowe, ale chyba obaj cieszymy się na swój widok. Jest już na studiach, ja dopiero w klasie maturalnej. Zazdroszczę mu, że jest tam, gdzie sobie zaplanował – polonistyka na Uniwersytecie Śląskim, na który trafiło sporo osób z naszego liceum. A tutaj ciemna okolica, wieczór, lekka mżawka i nagle Tadeusz decyduje się na odwagę: „Popatrz, co mam...”. Jak typowy ekshibicjonista rozchyła płaszcz, pod którym trzyma kilka książek, dostrzegam jednokolorowe wydawnictwa z dużym, archaicznym napisem „Kultura”, jedną czy dwie z charakterystycznym deseniem lnianej tkaniny. I to ma być wszystko? I tym można uzasadnić głos znizony do szeptu, dziwną ekscytację, rozglądanie się dokoła? O co w tym chodzi? Jakie to mało istotne; przede mną jeszcze tyle czasu i nerwów, matura, egzaminy. Przecież sam nie wiem, jak się to skończy. I co z tym ma wspólnego jakaś „Kultura”?

Wrzesień 1980, Paryż

Piotr [Jegliński] przekonuje mnie i załatwia jeden dzień pracy, pomocy właściwie, przy tzw. ekspedycji „Kultury”. Wynagrodzenie to obiad i odrobina wdzięczności ze strony ekipy Instytutu. Podobno to taki tutejszy obyczaj. Nie mam powodu, żeby odmówić. W kilka osób pojawiamy się w drukarni gdzieś w „dziewiątce”. O tyle istotne, że niedaleko stąd do placu Pigalle i Montmartre’u. Przez cały dzień ładujemy egzemplarze i paczki miesięcznika do jutowych worków, odstawiamy, sortujemy, przenosimy. Kieruje nami pani Zofia Hertzowa, nieustannie w ruchu, nadzorująca nasze niewprawne poruszanie się po hali wysyłkowej, pilnująca porządku i sprawności. Wczesnym wieczorem kończymy i wszyscy razem zasiadamy do stołu w sympatycznej restauracji tuż nieopodal. Jest wielobarwnie, przytulnie, ciepło. Jesteśmy uśmiechnięci i zadowoleni, chociaż pozostaje lekkie wrażenie nieuzasadnionej pracy „za darmo”. Ale sam pomysł raczej nam się podoba. W czasie zamawiania jedzenia i picia okazuje się, że tylko pani Zofia i ja mamy zamiar częstować się winem. We dwoje wypijamy tyle, ile przeznaczono dla sześciu osób.



Jacek Adamczyk (ur. w 1958 r. w Bielsku-Białej) – od 1977 r. studiował na Wydziale Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, epizodycznie na Wydziale Filozofii UJ. Studia doktoranckie ukończył na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej UJ.

W latach 70. i 80. był związany ze środowiskiem opozycji demokratycznej, krakowskiej bohemy artystycznej i z grupą SUR. Po 1989 r. zaangażował się w działalność organizacji pozarządowych zajmujących się kulturą, sztuką i edukacją, zajmuje się też tłumaczeniem z języka hiszpańskiego i francuskiego. Od połowy lat 90. jest pracownikiem instytucji rozwoju regionalnego. Tworzy prace malarskie i utwory muzyczne. Został uhonorowany medalem „Zasłużony Działacz Kultury”, „Złotym Krzyżem Zasługi”, medalem „Dziękujemy za wolność”, „Krzyżem Wolności i Solidarności”.

ISBN 978-83-8138-591-6



9 788381 138591 6 >



<https://akademicka.pl>

INSTYTUT
LITERATURY

